

Archiwum Wschodnie 21

Nazywam się Roland BRUNSZ, urodzony jestem 16 stycznia 1930 roku w Łapach. Ojciec mój Bertold ~~Ładysław~~ BRUNSZ, matka Regina BrunSZ z domu Kulesza. Ojciec pracował w warsztatach kolejowych w Łapach, koło Białegostoku. To są duże warsztaty, był kierownikiem działu elektrycznego. Wykształcenie miał na poziomie szkoły średniej, matka nie pracowała, była gospodynią domową. Rodzeństwa nie mam, miałem brata, ale zmarł w dzieciństwie. W 1939 roku pamiętam kilkodniowe bombardowanie Łap przez Niemców, bombardowali warsztaty. Myśmy się ukryli, ~~przemi~~ uciekliśmy na wieś. Kiedy wkroczyli Niemcy wróciliśmy, dom nie został spalony, to był drewniany dom, mieszkaliśmy jako lokatorzy.

Po niedługim czasie Niemcy się wycofali, weszli Rosjanie. Ja jako dziecko tego momentu dokładnie nie pamiętam, później zaczęły się te czasy., zaczęła się nędza, zabrakło nawet soli zapalek, wszystko zniknęło. Oni mówili, że mają wszystko. Mnóstwo kawałów powstawało na ten temat. Chodziłem do szkoły podstawowej. Początkowo wprowadzono jako język obowiązujący ^{dodatkowy} białoruski, ponieważ te tereny przyłączone zostały do zachodniej Białorusi. Uczyłem się chyba rok białoruskiego, nasi mieszkańcy sprzeciwiali się i wybrali jako dodatkowy rosyjski. Dyrektorem szkoły był Rosjanin, nauczycielem historii był Rosjanin. Jak odnoszono się do dzieci? Pamiętam taki swój wybryk - dyrektor uczył nas historii, kazał przynieść mapę. Były takie długie widełki do wieszania map z mosiężną końcówką. Postawiłem je przy drzwiach i kiedy dyrektor wchodził ^{zrobił mi} upadły. Była awantura, wyrzucono mnie ze szkoły, kazano przejść z matką, a dyrektor chodził wściekły powtarzając: "on chatieł dyrektora ubit". Ojciec ^{został} nadal kierownikiem działu jak i przed wojną,

ludzie byli przyzwyczajeni do sumiennej pracy, tak samo starał się wywiązywać z tych obowiązków jakie na niego nakładano, Może krył niektórych podwładnych, jeśli robili drobne nadużycia

[Myśmy właściwie nic nie przeczuwali, owszem były aresztowania różnych ludzi co jakiś czas, były wywózki. Pierwsza była w styczniu 1940 roku, była wtedy bardzo surowa zima, sroga. Ja już wtedy notowałem temperatury, więc pamiętam te 42-stopniowe mrozy, jakie były parę razy. Chyba były takie dni, kiedy robili wywózkę, wtedy formowali z wielu miejscowości transporty i wozili. Ze znajomych naszych, trochę dalszych, sąsiadów mojego wujka - państwo SAULOWIE. Nie miało znaczenia jak duża to była rodzina, wywozili żonę, dzieci aresztowanych wcześniej. Była druga wywózka. Myśmy trafili do trzeciej, ostatniej. [Mojego przyszli w ojca aresztowali, ~~xxxxxxx~~ nocy - 20 maja 1941 roku, gdzieś pierwsza, druga w nocy. Ja spałem. Pod pretekstem, że doniesiono im, że ojciec ma broń, zrobiono dokładną rewizję, wszystko przekopano w mieszkaniu, książki, których sporo było, przyglądano szczegółowo i dziwiono się, po co tyle książek. Zresztą ci Rosjanie nie byli przyzwyczajeni nawet do jakiegoś średniego poziomu życia, więc ich to dziwiło, że technik a tak sobie mieszka. Zabrali aparat fotograficzny, oczywiście broni nie znaleźli. Ojca ~~zabrali~~ aresztowali i od tego czasu ojca nie widziałem, aż do 1971 roku, kiedy do niego pojechałem do NRF-u. [W miesiąc później 20 czerwca 1941 roku, też tak samo przyszli w nocy do nas i kazali się spakować, zabrać najbardziej rzeczy najbardziej niezbędne na furmankę i nastację w Łabach - mama i ja. Wzięliśmy oczywiście to co dało się zabrać, parę ~~xxx~~ tobołów, na całe szczęście również trochę żywności, ponieważ mieliśmy ⁴tego wyrobu wędliny. Przed wojną moim rodzicom nienajgorzej się powodziło, to za tych pierwszych sowietów - od 1939 do 1941 - moja mama chodowała kury i świnia. ^{Łapy} Te były małym miasteczkiem

Mieliśmy swoje szynki, baleron. Mydło do prania było gotowane z sody kaustycznej i tłuszczu gorszego gatunku. Przed wywózką pamiętam /z atmosfery, jaka była/ donosicieli - Karnisiuk², kiedy wykorzystali już jego możliwości donosicielskie, żeby dostarczać nazwisk do aresztowania lub wywózki, to jego też wsadzili i chyba też wykonczyli w więzieniu. Był też Konopko, ten przeżył, ale jak Niemcy wkroczyli to ludzie wydali go Niemcom i Niemcy go rozstrzelali. Była taka obawa, zresztą jak i po wojnie ludzie się bali jakiś donosów, bo to wystarczyło, aby byli aresztowani.

Zawieźli nas na stację, pogoda była ładna, przenocowaliśmy pod gołym niebem. Potem załadowali nas do wagonów towarowych i 21 -go transport ruszył. Przynosili nam jeszcze ludzie dodatkowo żywność, abyśmy mieli co jeść po drodze. W każdym wagonie towarowym było zdaje się po 50 osób. Wagony kryte, suwane drzwi, to były zresztą polskie wagony, okienka były od spodu zasłonięte, ale dało się jakoś wyśledzić. Były deski - ławy, ^{z okrągłym otworem} ~~okna~~ ^{okna}, ubikacja była zrobiona w postaci kwadratowej deski, boczna rura była wystawiona przez niedomknięte drzwi i jednej strony, reszta drzwi była zabita deskami. Nie było osłonięcia we własnym zakresie ludzie zasłonili. Pojednej stronie byli ludzie z Łap, tego małego miasteczka liczącego wówczas 6 tys. mieszkańców, a po drugiej stronie ułokowali się ludzie ze wsi okolicznych. Między nimi był chory gruźlik, niejaki Wodecki, który pluł flegmą śmierdzącą, także śmierdziało z tamtej strony. On zmarł na Syberii. Jechali biedni ludzie, ze wsi nawet jakiegoś pastucha wzięli. Być może miał kogoś po tamtej stronie do kogo pisał listy czy ktoś do niego pisał, mówię ze strony okupowanej przez Niemców. Jeśli chodzi o powód aresztowania mojego ojca: ojciec siedział w Białymstoku, przy ulicy Mickiewicza, teraz mieści się tam Urząd Wojewódzki. to są dwa duże budynki, w jednym z nich ojciec mój siedział.

Siedział w podziemi tego budynku, ale to opowiadał mi jak go po 30 latach spotkałem. Wiem, że w czasie tego pobytu wzywał moją matkę na zeznanie. Znam nazwisko tego, który mojego ojca katował Tkaczenko się nazywał, ale to też później dowiedziałem się od ojca. Wówczas moja matka zostawiła mnie na ulicy, chodziłem przy żywopłocie, który jest po drugiej stronie ulicy. Wypytywali matkę, wypuścili ją. Jeśli chodzi o mojego ojca, to później okazało się, że zarzucali mu, że zorganizował siatkę szpiegowską, co było zarzutem śmiesznym. Ojciec nie należał do żadnych organizacji ani do partii przed wojną, wołał się nie mieszać do polityki. Przed wojną należał do tzw. czerwonego związku kolejarzy - ZZK i to było wszystko. Wiem z opowiadania ojca mojego, że był bity, katowany a kiedy tracił przytomność to go ten Tkaczenko "cucił" pomocą uderzenia laską trzciniową wzdłuż kręgosłupa. Kazano mu się przyznać do tego co nie zrobił. Byli tam ludzie słabsi, którzy się "przyznali", niejaki Myszkiewicz, z jego ^{1 synkiem} żoną byliśmy w Tobolsku na Syberii. Ten sam komplet aresztowanych, z kolei rodziny pojechały tam. Dowodzono w ten sposób: ty szedłeś i podawałeś jakieś znaki - w sposób śmiesznie naiwny. Ojciec się chyba w końcu nie przyznał do tego co nie zrobił, chociaż ojciec mówił, że bili tak, że człowiek mógł podpisać wyrok śmierci na siebie i na swoich bliskich.

Podróż przebiegała zresztą pod bombami niemieckimi ponieważ jak wiadomo 22 czerwca Niemcy zaczęli ofensywę. Pociąg zdążył dojechać do Wólkowyska z rana, Niemcy już bombardowali. NKWDziści mówili z początku, że to "maniówry". Wagony były zakręcone na śruby, wydostać się nie można było. Pamiętam w tym dniu pozwolili, aby jedna osoba poszła i przyniosła dwa wiadra wody, nic więcej nie dawali - to był drugi dzień podróży. W następnych dniach tak samo, gdy zatrzymywał się pociąg pozwalali przynieść te dwa wiadra wody, na 50 osób. Mama miała trochę wina swojej roboty

~~Wszystko~~ Ja byłem jako jedynak u mamy. Mama, przy nas była nauczycielka z Turośni Dolnej pani Maria FORTUNA, która też siedziała obok nas. Męża jej aresztowali, ją wywieźli na Syberię. Była też pani PERKOWSKA Honorata, syn Wiesław i starsza córka Irena, jechała żona byłego policjanta przedwojennego z córką. 25 osób z Łap i 25 ze wsi. Transport miał chyba kilkanaście wagonów. Pamiętam jak transport ruszał z Łap ludzie stali za ogrodzeniem kolejowym i płakali, wywózka na Syberię to było tak jak na śmierć. Człowiek nie wiedział czy kiedykolwiek wróci. Zaczęli ludzie śpiewać w końcu "Boże coś Polskę" jak pociąg ruszył. Modliliśmy się w czasie drogi. Księży nie było wśród nas. Niemcy bombardowali, ale chyba zdawali sobie sprawę, że był to transport wywożonych, bo nie był ten transport bombardowany i sowieci swoje transporty ewakuacyjne stawali obok naszego pociągu, co dawało mu bezpieczeństwo. Widzieliśmy taki ich pociąg, który ruszył przed nami /rozbity/. Wywozili tylko swoich bardziej zasłużonych, z NKWD, z władz. Pamiętam w Mińsku pociąg się zatrzymał /ja częściowo pamiętam pamięcią mojej matki, która opowiadała i umacniała moją pamięć/, byli tam Rosjanie, którzy bali się Niemców i prosili, aby ich zabrali ze sobą, to oni ich odpędzali i nie chcieli ich brać. NKWDziści mieli dwa wagony w tym transporcie. Za Słonimem, (jak nadlatywały samoloty niemieckie to zatrzymywali pociąg), też zatrzymali i część transportu stała na mostku i NKWDziści zaczęli prowokacyjnie strzelać z rkmów do tych samolotów. Były trzy niemieckie bombowce. Zrobili kółeczka i strzelali, ale tylko po tamtych wagonach. Przerazenie było ogromne. Gdzieś pod Orszą /Niemcy bardzo szybko szli, a pociąg nasz nie był sprawnie transportowany, jazda trwała długo /pociąg stał w nocy, w lesie i NKWDziści już zaczęli uciekać, ponieważ bali się, że Niemcy odetną drogę, podjęli próbę przedarcia się i to im się powiodło.

+ [Po tym nie mieliśmy już kontaktu z linią frontu, bo front poruszał się wolniej. Dopiero wtedy dostaliśmy raz czy dwa razy zupełną z kuchni wojskowej, bo przedtem dostawaliśmy tylko samą wodę. Mieliśmy ze sobą chleb i te wedliny własnej roboty, więc nie pomarliśmy. Później jazda odbyła się już spokojniej, chociaż też pociąg musiał zawracać, bo Niemcy zbombardowali jakiś odcinek. Dowieźli nas koleją za góry uralskie, za Swierdłowskiem, kilka tuneli, dojechaliśmy do Tiumenia, tam wyładowano nas i załadowano na barki, chyba dwie były. Barką dopłynęliśmy do Tobolska. To był chyba 4-5 lipca. Płynęliśmy cztery dni rzeką Tobołą, raz się statek zatrzymał ciągnący barkę. Nie mieliśmy żadnej kąpiel. Na łące rozpaliliśmy ogniska i gotowaliśmy jedzenie. Barka była po zbożu. Część ludzi zostawiono ~~była~~ ^{na północ} po drodze, po kołchozach, część przewieziona była dalej. My, trafiliśmy lepiej, bo Tobolsk było to miasto, wówczas chyba 35 tys. mieszkańców liczące. Za miastem znajdowała się cegielnia, bardzo prymitywna. Naszych tam zatrudnili, mama moja pracowała w tej cegielni, tak prymitywnej cegielni ludzie sobie nie wyobrażają. Nic z metalu, wózki były całe z drewna, szyny drewniane. Moja mama pracowała tam i dostawała obiady, tzn. raz była gotowana pszenica z robakami, drugi raz groch, na zmianę. Jak rozliczyli zarobek, dostała 9 rubli za miesiąc ^{po} ~~jak~~ ^{zmienn} potrącili za "wyżywienie". Nie miałem jeszcze 16 lat, więc nie pracowałem, od 16 lat brali do przymusowych robót. Rozchorowałem się na szkarlatynę, ~~ty~~ ^{było} pod koniec lipca, miałem wysoką gorączkę, byłem w tymtejszym szpitalu. Wówczas moja mama przynosiła mi jedzenie, jakie mogła zdobyć. Można się było wyżywić dzięki temu że sprzedawało się rzeczy, jakie się miało. Pończuchy były dla tamtejszej bardzo biednej ludności wielkim rarytasem, można było dostać kartofle, chleb, to co oni mieli. Nędza tam zaczęła się bardzo szybko. Jeszcze jak nas przywieźli to były jakieś konserwy w sklepach.

Bardzo szybko to zniknęło, potem był tylko kartkowy chleb. Kartki na cukier były cały czas, ale kupić cukier udało się tylko raz, pół kilograma, zaraz na samym początku. Chleba było 300g dla członka rodziny, 400g dla urzędnika, 500g dla robotnika 600g dla robotnika ciężko pracującego. Chleb to była taka glina, w formie pieczony, zalatywał naftą, być może formy smarowano naftą. Stołówkowe jedzenie ^{stało się} ~~te było~~ gotowane zboże, można to było stwierdzić później widząc kupkę. Myśmy trafili tam w okresie letnim, więc lepiej nam się widło, była już podpisana umowa z Sikorskim i zwolniono naszych od przymusowej roboty. Ja ^{leżeniem} byłem 6 tygodni w szpitalu. Opieka szpitalna: jakaś siostra czy lekarka przychodziła, dawano jakieś lekarstwa, w ramach swoich możliwości opiekowali się. Mama donosiła jedzenie. Jeśli chodzi o dzieci z transportu nie chorowało dużo. Pamiętam w czasie jazdy zmarła jakaś staruszka ze wsi, wystawili nosze na brzeg torów i pociąg pojechał dalej, tak się odbył ten pogrzeb.

W Tobolsku dalej: nasi dostali tzw. białe zaświadczenia była to karta formatu A5, na której ^{zostało} było napisane, że dany obywatel jest obywatelem polskim i ma prawo przemieścić, gdzie mu się podoba. Praktycznie niewielu z tego na początku skorzystało. Ta nieliczna grupka, która trafiła z Łap do Tobolska powiększyła się szybko; ponieważ można już było się przenosić ścignęli ludzie z dalszej północy, nawet znad Obu, z takiego obozu, ja tak sobie ^{myślę} ~~wyobrażam~~, że było ^{on} ~~to~~ o 500 km od ujścia Irtysza. Była między nimi pani Maria SĘCH z Nowego Sącza i Przyłączyła się do tej grupy, w której byłem ja i moja mama. Z początku ta grupa była taka: pani Maria FORTUNOWA, nauczycielka, pani Lucja MYSZKIEWICZ i jej syn Mirek, pani PERKOWSKA mieszkała w pobliżu. Później zwiększyła się nasza grupa, było nas osiem osób. Przenosiliśmy się razem z domu do domu, wynajmowaliśmy u miejscowej ludności. Ta grupa Polaków w Tobolsku

powiększyła się ściągnęli ludzie z północy i z okolicznych ~~kolchozów~~ kolchozów, zebrało się około 2 tysięcy Polaków, w tej liczbie byli nauczyciele i zorganizowali polską szkołę. Powstało przedstawicielstwo rządu londyńskiego, tym delegatem był Wacław Wawelberg, żyd, wnuk tego słynnego filantropa Wawelbarga, koło niego obracał się Zygmunt Ratuszniak, ^{advokat z Warszawy} też żyd, który po wojnie był dyrektorem Departamentu ^{Karno-Administracyjnego/?/} w Ministerstwie Sprawiedliwości. Kiedy wróciliśmy ^{do Polski}, on już tam był.

Delegatura rządu londyńskiego, polska szkoła, polski sierociniec. Kierownikiem polskiej szkoły ^{i sierocińca} został pan Władysław EJMONT, kierownik przedtem szkoły w Krzywiczach na Wileńszczyźnie, powiat zdaje się Nowa Wilejka. ^{Był} on wraz ze swoim synem Bogdanem, dziś aktorem w teatrze Ateneum. Władysław Ejmont oraz Maria Fortunowa założyli tę szkołę, dostaliśmy lokal w pobliżu rynku. Ja zacząłem chodzić do tej szkoły, nie było starszych klas, ja powinienem chodzić do siódmej klasy. Narysowałem mapę Polski, wisiała ona w klasie, była powiększana kratka po kratce z mapy przedwojennej. Nauczycielką w tej szkole była jeszcze Irena Perkowska. Ta grupa Polaków powstała nie tylko z tych co byli wywiezieni, ale i z tych, co wyszli z więzienia.

W Tobolsku są dwa więzienia, jedno dla politycznych, drugie dla kryminalnych imienia Pięciolatki. Więzienie dla politycznych jest bardzo stare, podziemne cele podobno kopali jacyś Szwedzi, którzy przez któregoś cara byli odtransportowani do Tobolska, poza tym jest jeszcze obóz pracy.

Jakiś czas szkoła polska mieściła się przy rynku, potem dostaliśmy kilka pokoi w budynku Instytut Pedagogicznego. To był ~~ten~~ ^{murywany} budynek ~~drewniany~~.

W Tobolsku większość zabudowy jest drewniana, miasto jest położone nisko, część jest na płaskowyżu, właśnie to więzienie jest na płaskowyżu, oraz tzw. kreml tobolski czyli cerkiew

To była ich katedra, w Tobolsku było podobno około 60 ^{cerkwi} za carskich czasów, a czynna była tylko mała cerkiewka na cmentarzu, za miastem ~~dużo~~ daleko, popa nie było, siedział w więzieniu, ~~ale~~ nabożeństwa odprawiały stare kobiety.

Życie religijne wśród Polaków rozpoczęło się, były nabożeństwa odprawiane, w salach szkolnych. Ksiądz i jakiś zakonnik - nie pamiętam, jak oni się nazywali - wyszli z więzienia w Tobolsku.

Kiedy szkoła mieściła się w budynku Instytutu Pedagogicznego podkradaliśmy książki, aby mieć w czym pisać, pisało się między wierszami. Pamiętam inspekcję tamtejszych władz w szkole, ^{em} pisał między wierszami w dziele Stalina, wziąłem tę książkę, bo miała świetny papier. Nauczycielka moja kazała ją czym prędzej schować.

Wkrótce po podpisaniu umowy z rządem Sikorskiego wypuszczono z więzienia w Tobolsku Polaków. Okazało się też, ilu ich tam było. Część mężczyzn i młodych kobiet, które wyszły z więzienia wyruszyli na południe, najpierw chyba do Buzuluku, gdzie organizowano polską armię, później w okolicę Taszkientu. Pamiętam dwie młode panny, jedna nazywała się ^{Róża} Handkiewicz, przysłały później mojej mamie zdjęcia w mundurze armii Andersa. Kiedy armia Andersa wyszła do Iranu i dalej zaczęły się zaraz obostrzenia w stosunku do naszych ludzi. Przede wszystkim kazano przyjmować obywatelstwo radzieckie. Wszyscy przyjęli je nie wyzbywając się tych zaświadczeń, że są obywatelami polskimi, tego nie zabierali. Wiem tylko taką rzecz, że żona pana Fjmonta - Bronisława, która była wywieziona z Bogdanem wcześniej z Wileńszczyzny do północnego Kazachstanu, oni byli gdzieś koło Pietropawłowska w północnym Kazachstanie w kolchozie, a była ona pełnomocnikiem rządu londyńskiego i miała wcześniej wydany paszport przez władze polskie w Londynie i ona ~~Nie~~ chciała przyjąć obywatelstwa radzieckiego to wsadzono ją do więzienia na dwa lata za brak dokumentów.

Odsiedziała te dwa lata. Pan Ejmont ~~zabrał~~ wyszedł z więzienia w Tobolsku, jakimś sposobem dowiedział się, gdzie oni zostali wywiezieni, pojechał z Tobolska do tego kołchozu, ale już nie zastał żony, tylko syna i zabrał go do Tobolska, ponieważ czuł się z tym środowiskiem związany. Później pani Ejmont po wypuszczeniu z więzienia przyjechała do Tobolska, ale zachorowała, zrobił jej się jakiś wrzód w gardle. Zmarła na stole operacyjnym i pochowana została w Tobolsku. Jest tam parę grobów polskich na cmentarzu tamtejszym. Wiem, że Bogdan Ejmont jako aktor jeździł na tournée po Związku Radzieckim - ponieważ dobrze mówi po rosyjsku - prosił, aby go puszczono do Tobolska na grób matki, nie puszczono go. Po tym, kiedy zmuszono ^{on} wszystkie do wzięcia tych dowodów - paszportów, pogorszyła się sytuacja, bo zjawiała się nieprzychylność ludności w stosunku do nas. Wyzwiska, zaczepki, były to wyuczone polskie zwroty, obrażające. Oczywiście oni nie byli w stanie nas obrazić, poniżyć. Musiałem się nauczyć bić na pięści i kijem, bo, jak się szło, chłopacy zaczepiali. Były takie obdartusy, ze szkoły zawodowej. Nazywali ich "remieslniki", ale to były rzezimieszki, każdy miał nóż przy sobie, nie było żartów. Raz pamiętam obronił mnie Bogdan, bo on był rosyj.

✕ Szkoły polskiej nie zlikwidowali ani polskiego sierocińca. Podlegały tamtejszemu inspektoratowi ^{dy}GRONO/. Pośród tych Rosjan była taka Kłoczkowa, bardzo sympatyczna i przychylna Rosjanka. Mianowano wówczas dyrektorką polskiego sierocińca też Polkę, ale tamtejszą. Nazywała się ona Bronisława Sołowiowa, a była urodzona w Warszawie, ale od rewolucji żyła w Rosji, wyszła za mąż za Rosjanina. Nie mieli pełnego zaufania i chcieli aby to był ktoś od nich. Przydzielili budynek dla sierocińca. Były tam sieroty pełne i półsieroty. Moja mam^{dy}a pracowała w tym sierocińcu, zajmowała się bielizną, pościelą, ubraniami dzieci. Była intendentką. Również miała tam ręczną maszynę do szycia

i szyla. Opieka to byli Polacy. Ja mogłem korzystać również z tamtejszego wyżywienia - śniadania i kolacje, parę kromek chleba i trochę masła, obiady, pamiętam, że jadłem też w sierocińcu. Były tam takie charakterystyczne gliniane miski, polewane, brązowe, łyżki drewniane. Do sierocińca należała działka. Mięso może zdarzało się, ale dobrze nie pamiętam, natomiast były gotowane suszone ryby. Mleko kupowaliśmy od kobiety, która miała krowę, mieszkała w pobliżu nas. Tam w ogóle było mało krow. Nasza osemka/Władysław Ejomont z synem Bogdanem, ja z matką, pani Myszkiewicz z synem, pani Fortunowa i jeszcze była panna ^{ożyła} Cecylia Iwanicka z Łap, później dołączyła do nas panna ~~Sech~~ Maria ~~Sech~~ z Nowego Sącza, którą działania wojenne zastały we Lwowie i nie mogła wrócić do Nowego Sącza. Zapisła się do transportu formowanego z chętnych, którzy chcieli wrócić na tereny okupowane przez Niemców, na ironię znalazło się tam wielu żydów, którzy chcieli wrócić i nie wiem - to z opowiadania p. Marii Sech ~~Sech~~ - czy Niemcy nie chcieli przyjąć tego transportu, czy zaszło co innego, parowóz przyczepiony został z innego końca pociągu i pojechali na Syberię. Ona była daleko, / p. Maria Sech ~~Sech~~ zmarła w 1941 roku. Nie odnalazła swojej rodziny, zaprzyjaźniła się z moją matką, zamieszkały razem, pochowana jest na cmentarzu w Łapach. Z opowiadania Marii Sech ~~Sech~~ wiem, że jak ich zawieźli daleko, gdzieś nad Obem. Była tam tylko jakaś chatka, powiedzieli im : „tu macie żyć, tu wam umierać” Dostarczyli im tylko narzędzia piły i siekiery. Musieli sami wyrąbać miejsca, zbudować domy. Co najmniej jedną zimę tam spędziła /1940-1941/. Był to męski typ, silna fizycznie, niski głos. Ciężko pracowali, jak nadarzyła się okazja przenieśli się tam, gdzie trochę cieplej. W Tobolsku zima też jest surowa. Parę razy się zdarzyło, że 12 października spadał pierwszy śnieg i nie topniał. Przez te pięć zim, jakie tam spędziłem, zima kończyła się w końcu kwietnia. Irtysz ruszał z wielkim

łaskotem, śniegu było bardzo dużo, mróz 30 stopni to nic nie było nadzwyczajnego, jak było 20 stopni to ludzie miejscowi mówili "ot ciepło" /odwilż/, poniżej 40 stopni szkoły były nieczynne, raz było poniżej 50 stopni, przy chuchnięciu szron się sypał.

Jeden rok straciłem przez chorobę, dwa lata chodziłem do polskiej szkoły, dwa do rosyjskiej - ósmą ^zidzieliątą klasę skończyłem w tobolskiej szkole średniej. Stąd znam trochę rosyjski. Było trochę zeszytów, wydzielane były bardzo, też pisało się w książkach między wierszami.

Pamiętam dzień zwycięstwa. Nie powiedzieli o co chodzi, tylko zwołali wiec na rynku, wszyscy uczniowie poszli i ktoś przemówił z balkonu, że teraz Niemcy - - - - -
Później był odczyt, po zrzuceniu bomby atomowej na Hiroszimę. W dużej sali na piętrze, w murowanej szkole średniej w Tobolsku, wtedy podnoszono znaczenie odkrycia energii atomowej.

W Tobolsku jest kino na 800 miejsc, teatr drewniany, tam pracował / też z Łap pochodzący / Wiesław Perkowski jako elektryk. Mieszkaliśmy w wynajmowanych mieszkaniach, a potem w domkach. Komorne płaciło się co miesiąc, składaliśmy się, na utrzymanie trzeba było ciągle pracować. Moja mama sprzedawała / wzięliśmy ze sobą dwie wełniane kołdry / jedną, ~~ta~~ Rosjanka cieszyła się, że z wełny, jak uprzedzie będzie miała swetry, a z pokrycia uszyje sobie sukienki. Kupowaliśmy od tych, co byli uprzywilejowani, ^{od}tych ^{co} "zakritych magazynów" mamą kupiła kiedyś dwa kilogramy masła za tę kołdrę. Ludność jadła glinowaty chleb i pszenniczą zupę w stołówkach.

W stosunku do nas nie było specjalnie złego traktowania. Myśmy byli po prostu ich obywatelami.

Kiedy powstawała armia kościuszkowska niektórzy pojechali i zaciągnęli się do tego wojska. Wiem, ^(a)ż jeden z Polaków

ożenił się z Rosjanką, miał z nią dzieci i po skończonej wojnie ^{nimo, te} był na swoich terenach i wrócił do tej Rosjanki. Pamiętam parę adresów: Samarowskaja 7, Wierszyna 64 - był to domek w wąwozie, u góry było więzienie kryminalne, słychać było w nocy tupanie na bocianich gniazdach wartowników. Polacy umieli sobie radzić. Obowiązywało prawo: „nie będziesz kradł, nie będziesz jadł”. Pani Maria Sech~~ę~~ pracowała przy tej samej ulicy, w browarze, to była słodownia. Tam przygotowywała wóreczki z jęczmieniem albo z wyrośniętym jęczmieniem, ze słodem. Myśmy przechodzili w nocy, nasz kierownik szkoły przebrany za obdartusa stał na czatach, jeśli gwizdał polską melodię to było bezpiecznie, jeśli rosyjską to trzeba było uważać. Chodziliśmy do tej słodowni, braliśmy duże szczapy drzewa, żeby było czym palić i ten jęczmień. Jadło się go trzy razy dziennie, kto nie miał możliwości jeść w sierocińcu, jadł tylko ten jęczmień. Kaszę jęczmienną robiliśmy sami. Były dwa rodzaje urządzeń do rozdrażniania zboża /u ludności/. Do oczyszczania owsa była drewniana "stupa". Myśmy korzystali z żaren. W polsce nikt by sobie takich nie wyobraził. Były to dwa pionie brzozone, o średnicy około 70cm nabite odłamkami żeliwnego garnka, dolna część obita blachą. Stawia się te żarna, pod spodem koc i kręci się. Z początku zanim się żeliwo zetrze je się kaszę z żelazem. Mieliśmy jednak kaszę, trzeba było tylko bardzo uważać, bo ludność mogła zrobić donos. Wiem o takim przypadku: jeden z Polaków pracujących w piekarni miał kochankę Rosjankę i kiedy poszedł do innej, to wydała go, złapali go kiedy podawał bochenek chleba nad połtem. Siedział w więzieniu.

Nędza nędzą, ale nawet było trochę fantazji. Kiedyś wiezione były olbrzymie kłody. Jedna kłoda spadła /3m długości i ponad metr szerokości/ i leżała na śniegu. Nasza grupa pocięła w nocy ten kłoc na szczapy. Pamiętam ^{by} zostałem jako najmłodszy sam w domu i słyszałem tupanie tego strażnika na wieży więzien

nej, a ¹⁴ wdoła piły "ciach, ciach, ciach" piłujących Polaków.

Życie kulturalne. Pan Ejmont organizował życie kulturalne były akademie, śpiewałem w chórze. Pan Ejmont starał się, abyśmy uprawiali sport, raz braliśmy udział w wyścigach i nasza polska sztafeta 4 razy na 100m wygrała ze szkołą rzemieślniczą w Tobolsku. Oni byli roślejści, ale próbowali oszustwa i zgubili pałeczkę. Były rzuty granatem, nawet grałem w tenisa. Gdzieś znaleźli rakietę i piłeczki w starej szkole. Ja interesowałem się naukami ścisłymi. Pan Ejmont wiele zrobił dla nas. Było wychowanie patriotyczne. Sam pobyt tam uczył nas patriotyzmu, a poza tym była ta grupa ludzi, którzy zadbali, aby dzieciaki nie zapomniały języka.

Przychodziły paczki UNRRA, ale tam się one tak nie nazywały. To była duża pomoc, chociaż nie zawsze były to rzeczy tam przydatne, bo nawet suknie balowe się trafiały. Dwa razy mama dostała paczkę z organizacji żydowskiej, skromna, ale przyszła. Imiennie ją dostaliśmy. Kontakt z rodziną nie mieliśmy. W 1945 roku część wyruszyła z Tobolska, bo była możliwość osiedlenia na terenach wschodniej Ukrainy. Ja zostałem z mamą, ponieważ mama wracała z sierocińcem, a on jeszcze został, wróciłem w parę dni po referendum, w 1946 roku. Jechaliśmy w takich samych wagonach z tym, że nie były zamknięte i na stacjach zatrzymywał się. Jechaliśmy też ze dwa tygodnie. Najpierw statkiem do Tiumentia. Statek nazywał się "Jelizarow". Taki stary drewniany gruchot, rzeczny statek. W porcie rzeczonym widzieliśmy jeńców niemieckich, jak przenosili worki. Byli odżywieni, zdrowe chłopcy, nieźle chyba się im tam wiodło. W Tiumentiu kazano nam dać do odwszalni ubranie. Myśmy nie byli zawszeni, ale z tej odwszalni do nam się dostało trochę wszy. W Tobolsku ~~jakby~~ wszy były głowowe i ubraniowe, pluskwy, Mieszkania wyklejone były papierami, gazetami, b/o tapet nie było. Stojąc w kolejce można było wszy dostać, bo przechodziły z jednego na drugiego.

Odzieżowych nie mieliśmy, ale głowowe zdarzały się. Myśmy umieli je tępić, smarowanie naftą, mycie częste. Kiedy polskie dziewczynki w sierocińcu miały długie włosy (inspektorka) ~~xx~~ ~~xxxxxxxx~~ "u nas nie ma wszy" odpowiedziała "to niemożliwe".

Z żywnością było źle, chleb glinowaty. Tam warunki naturalne są takie, / że o owocach nie ma mowy, jedynym owocem były owoce głogu / nie mylić z dziką różą/, ziarnka wielkości grochu, ^(kruki) (krujące), mączyste. Jedliśmy owoce z czarernchy, piliśmy sok brzo-
zowy. Kiedy brzozy puszczały pierwsze liście nacinało się pień podstawiało naczynko i ten sok ciekł. W browarze Maria Sech^{ka} dostawała również syrop, robiony z kartofli, nazywało się to "patoka", zbliżony do miodu. Trochę tego było. Jeśli chodzi o tamtejszą ludność - nędza była okropna, oczywiście czas wojenny wzmocnił jeszcze tę niedolę. Jak była uroczystość rodzinna kupowali w wiadrach piwo. Bimbru nie umieli pędzić. Kiedy byłem w szkole pojechaliśmy jednego lata, chyba na trzy tygodnie ścinać drzewa. Ja pracowałem siekierą, a Bogdan z kolegą piłowali. Cięło się te drzewa, układało w stosy, w zimie przyjeżdżaliśmy po nie na opał. Były już wtedy amerykańskie ciężarówki studebuckery, które tam dotarły.

X W Tobolsku elektrownię opalano też drzewem. Z dobrych rzeczy, jakie tam można zjeść to są orzeszki cedrowe. Na targ kołchoźnicy przywozili kartofle. Handel odbywał się na miarę, na wiadra. Za zarobek miesięczny można było tylko kupić parę wiader kartofli. Moja mama opowiadała taką scenkę: kiedyś poszła na ten targ kupować kartofle, kołchoźnica siedziała na kupie worków i pilnowała, a zakradał się chłopak tamtejszy, Rosjanin, obdarty i kradł jej te kartofle. Miał długie kieszenie, specjalne uszyte. Mama go nie wydawała to on mówił do niej "bier i ciotka, nie bój się". Potem odszedł i zaczął jeść surowego kartofla. Musiał być dobrze głodny. Na targowisku były długie ^{ny} ławki na których wykładano towary, np. pomidory. Tam spotkaliśmy Polaka

staruszka osiemdziesięcioletniego mniej więcej, który nagle się odezwał po polsku. To był syn jakiś zesłańców z 1864 roku. Pytali go, czy chciałby wrócić do Polski, powiedział, że nie, on się tam urodził, tam jego rodzice leżą, tam jego żona spoczywa.

W Tobolsku jest budynek kościoła katolickiego, który był fundowany przez Polaków zesłańców. Wówczas znajdowała się stolówka Instytutu Pedagogicznego. Myśmy nie korzystali z tej stolówki, tylko studenci.

Pogrzeby naszych były katolickie.

W Tobolsku było bardzo dużo komarów, najpierw zaczynały się meszki, później baki końskie, a jak zaczynały się komary to było straszne. Pamiętam taki pogrzeb, ludzie szli jak kupa wariatów, ludzie gałazkami opędzali się od komarów.

Msze mieliśmy wtedy, gdy był ksiądz. Odbывały się w budynku polskiej szkoły. W okresie przed wyprowadzeniem armii Andersa nie było żadnych obostrzeń ze strony Rosjan, jeśli chodzi o życie religijne. Wieczorem w domu wszyscy klękali, mówiliśmy pacierz i litanię. Ksiądz z zakonnikiem wyjechali z armią Andersa.

Powrót do Polski

Zorganizowano koło Związku Patriotów Polskich w Tobolsku. Pan Jacyno był przewodniczącym. Wszyscy się zapisali. Rozumowanie było proste, trzeba się zapisać, jeśli chce się wrócić. Z naszej zsyłki wrócili, oprócz tego Polaka, co się ożenił z Rosjanką, wrócili wszyscy. Jeszcze ^{podobno} jakaś Polka wyszła za mąż za Rosjanina i została.

W międzyczasie, kiedy z Rosjanami było kruchy, Niemcy byli pod Stalingradem, wypuścili popa z więzienia. On odprawiał nabożeństwa prawosławne, w tej cerkwi, która była na cmentarzu, na północy miasta. Wówczas zyczeły się masowe chrzty. Oni robili to w Irtyszu, [↓] wprzerębli, przez zanurzenie w wodzie.

Organizatorem powrotu był chyba Związek Patriotów. I chyba tego wcześniejszego wyjazdu części Polaków na Ukrainę, z Tobolska

Zatrzymywaliśmy się po drodze i chyba dostaliśmy jakąś żywność. Ja wracałem w sierocińcu, a sierociniec musiał mieć zaopatrzenie. Sierociniec pojechał do Sopotu, myśmy przyjechali do Warszawy. Wujek, brat mamy jakoś dowiedział się o nas i przyjechał na dworzec Wileński. Odnaleźliśmy się. Wróciliśmy razem do Łap. Podróż trwała chyba dwa tygodnie, incydentów nie było.

Uzupełnienia

Moja mama chodziła na kopanie kartofli, żeby mieć je na zimę. Chodziła do wsi Łamajewa, kilkanaście kilometrów od Tobolska na północ. Nie znano tam nawet motyk, tylko podważano łopatami. Ziemia bardzo urodzajna. Mama miała, udostępnioną przez jedną Rosjankę, grządkę ziemi, na której posadziła sama kartofle. Posadziła jedno wiadro, a zebrała dwadzieścia dwa. Mieszkała w kołchozie, sypiali na pryczach, oraz na tzw. "pałti" - półce do spania, pod sufitem. Kołchoźnik, u którego mieszkali najpierw zakwaterowały ich kobiety, był nieufny, kto to jest. Byli tam nie tylko Polacy, ale i Rosjanie, którzy ewakuowali się z Moskwy, z Leningradu. To byli ludzie bardziej uprzywilejowani. Oni korzystali ze specjalnych sklepów. I temu kołchoźnikowi odpowiadano: to, tacy sami biedacy jak my." I stał się serdeczny i życzliwy.

Ja nie wywodziłem stamtąd nienawiści. Mama opowiadała mi, jak ci Rosjanie opowiadali o tych czasach, kiedy Stalin wprowadzał kolektywizację. Ukraińców, tzw. kulaków pędzili pieszo jak ktoś padł, zmarzł, to tak zostawał. Gdy zima minęła, śniegi stopniały, to ludność miejscowa musiała te trupy pochować. Tak oni obchodzili się ze swoimi.

Z ojcem stało się tak:

Kiedy Niemcy zaczęli szybko swoją ofensywę, to NKWDziści opuścili, wystraszyli się i uciekli. Więzienie otworzyła miejscowa ludność i wypuściła więźniów. Przedostali się do biura NKWD i przejrzel listy konfidentów. Zdumiewał się jakich ludzi oni potrafili wciągnąć przez szantaże i uzależnienia. Wyrzucili te wszystkie dokumenty więzienne na plac, oblali benzyną i podpalili. Później jeszcze NKWDziści wrócili, ale nie mieli już kogo dobijać. Słyszałem, że w więzieniu w Równem, tam NKWDziści mieli więcej czasu, to wrzucali najpierw granat do celi, potem wchodzili i dobijali, ceka po celi. Tylko dwie ostatnie cele ocalały, bo zabrakło im czasu, ludzie wydostali się i uratowali.

Ojciec pracował za okupacji w kolejnictwie, a kiedy Niemcy wywozili maszyny, pozwolił się delegować, najpierw był w Olsztynie, potem w Gdańsku i trafił do Lubeki. Tam był jakiś czas w obozie dla Polaków. Miał kartkę, jaką do nas stamtąd przysłał. Kiedy wróciliśmy z Syberii poszukiwaliśmy się przez Czerwony Krzyż, ojciec słuchał radia i dowiedział się, żeśmy wrócili. Ale ojciec nie odważył się nigdy wrócić, bał się, cierpiał na chorobę poobozową. Po tamtym tylko miesięcznym pobycie w więzieniu, miał koszmarnie sny, budził się z krzykiem. Dopiero w 1971 roku odwiedziłem ojca, gdy "za Gierka" można było już wyjeżdżać. Byłem kilka razy u niego w Lubecie. Zmarł w 1985 roku nie chciał spoczywać w tamtej ziemi, kazał się spalić, a prochy rozsypać do Bałtyku.

x

Jak ten pobyt na Sberii wpłynął na mój światopogląd? Czytałem tam trochę książek, ale interesowałem się przede wszystkim fizyką, astronomią. Przyjechałem do Polski z przekonaniami komunistycznymi, to znaczy wydawało mi się, że ten ustrój zwycięży na całym świecie. W drodze rozwoju mojego światopoglądu ja niczego nie żałuję.

Znam sposób myślenia tych tzw. komunistów, bo w gruncie rzeczy nie są oni ani komunistami ani socjalistami. Te przeżycia pozwalają rozumieć lepiej drugą stronę.

Uzupełnienie:

Kiedy wracaliśmy, już blisko granic kraju, mijaliśmy transporty, które jechały na wschód i język polski było słychać. Czy oni wrócili?

X

Na Syberii nauczyłem się wszystko jeść, dziką marchew wyco-
ciągniętą z ziemi, tylko obtartą, buraki pastewne, jakaś kalare-
pa tam była. Niedola bardzo nas zbliżyła. Niestety zdarzały się
przypadki, że ludzie zapominali języka polskiego, jeśli nie mie-
li takiego oparcia jak my u nauczycieli. Wśród tych ludzi wywie-
zionych byli nie tylko Polacy, byli również i Białorusini.
Bałłostockie, zwłaszcza po prawym brzegu Narwi to są spolszczo-
ne wsie białoruskie. Białorusini bardzo szybko zapominali język
polski. Ale wracali wszyscy. Pani Myszkiewicz, która była z nami
prawdopodobnie była pochodzenia białoruskiego i zdaje się z syn-
kiem swoim w domu rozmawiała po białorusku, ale gdy znalazła
się w Tobolsku czym prędzej uczyła go języka polskiego.
Było takie powiedzenie, że Polska przez dwadzieścia lat nie
umiała z Białorusinów Polaków zrobić, a Stalin zrobił to
bardzo szybko.